

„ŚWIAT ZDZISŁAWA BEKSIŃSKIEGO”

(„Panorama Północy” Nr 6, 08.02.1981r.)

Tylko obrazy pozawieszane na jednej ze ścian, sztalugi i pędzle sugerują, że znajdują się w pracowni. Pokój, w którym tworzy Zdzisław Beksiński – malarz, niczym nie przypomina typowej pracowni artystycznej. Ściany szczelnie zabudowane segmentami. Na ich półkach magnetofony szpulowe, liczne kolumny głośnikowe, sporo lamp na długich ramionach.

– Co się Panu ostatnio śniło?

– Od dłuższego czasu w ogóle nic mi się nie śni. Dużo maluję i być może w ciągu dnia uruchamiam ten sam zakres czynności mózgu, który sprzyjałby śnieniu w nocy. Te najbardziej interesujące sny miałem w dzieciństwie i młodości. Namalowałem najwyżej 2-3 obrazy, które były bezpośrednio inspirowane marzeniem sennym. Marzenia senne w nocy i marzenia na jawie charakteryzują się tym samym mechanizmem swobodnych skojarzeń. W psychoanalizie obojętne jest czy pacjent opowie autentyczny sen czy też wymyślony. W każdym zakodowana jest jego psychika.

–Pana malarstwo ma cechy surrealizmu. A zatem wyłaniające się z mroków na Pana obrazach zjawy i potwory powinny mieć swój rodowód w marzeniach sennych.

– Surrealiści postulowali tę właśnie metodę tworzenia i jeśli mnie coś łączy z surrealizmem to właśnie tylko metoda swobodnych skojarzeń. Być może jest to określenie zbyt ściśle. Czuję raczej silniejszy związek z malarstwem XIX-wiecznym niż

surrealizmem. Oczywiście są widoczne w moim malarstwie pewne wpływy surrealizmu, jest mi jednak obojętne jaka pieczęć zostanie mi przyklejona przez krytyków.

– Należy Pan do tych nielicznych artystów, którzy żyją trochę na uboczu. Mam wrażenie, że zamyka się Pan w swojej pracowni jak w klatce, żyjąc tylko światem własnym wewnętrznych przeżyć. Nawet okno Pan zasłonił.

– Ależ to dlatego, że słońce świeci! To co się u nas nazywa życiem artystycznym nudzi mnie. Nie lubię wystaw. Już samo opracowanie obrazów uważam za stratę czasu. Chętnie wyszedłbym z tej klatki, gdyby było po co, tzn. gdyby Warszawa oferowała wielkie ilości atrakcyjnych filmów, koncertów czy czegokolwiek innego. Na koncertach czuję się źle. Obserwowanie wykonawców i dyrygenta przeszkadza mi w odbiorze muzyki. Przyzwyczaiałem się do słuchania muzyki z taśm i płyt, nie zwracając na nią uwagi, gdyż w tym czasie maluję. Mam głośniki dookoła pokoju, gra mi ze wszystkich stron. Muzyka mnie otacza. Bez niej nie potrafię malować.

– **Podaję, że bardzo mocno uzależnił się Pan od muzyki.**

– Być może, że jestem uzależniony od dźwięków z taśmy. Przedmioty na moich obrazach i to wszystko co się na nich dzieje jest podporządkowane idei, strukturze, architektonice utworu muzycznego z drugiej połowy XIX wieku. Nie słucham prawie kompozycji, które powstały przed Schubertem ani po wczesnym Schoenbergu. Najbardziej lubię okres postwagnerowski. Wydaje mi się, że punkty kulminacyjne w obrazie buduję w ten sam sposób jak są one zbudowane w poemacie symfonicznym z tego okresu. Jest to jednak moje subiektywne mniemanie a nie interpretacja konkretnej partytury. Odnosi się to oczywiście tylko do okresu postwagnerowskiego w muzyce, bo na przykład z utworami baroku już nie znalazłbym tych korelacji.

– Czy pomysł namalowanie kolejnego obrazu nosi Pan jakiś czas w myślach, czy też dopiero w trakcie zetknięcia pędzla z płytą pilśniową budzi Pan nowe zjawy i duchy?

– Nie. Nie przystępuję do malowania, jeśli nie mam gotowej idei. Niejednokrotnie jednak w przeciągu pierwszych kilkunastu minut ta idea zostaje zastąpiona przez całkowicie inną. Pociąga mnie realizowanie tego, co mi chodzi po głowie. Często jednak jestem niezadowolony z tego co wychodzi spod pędzla, a co jest nieadekwatne do mojej wizji. Pierwszy dzień malowania bywa najradośniejszy, później – w miarę upływu dni – jestem zmęczony i coraz bardziej przekonany, że powstał knot. Gdy skończony obraz długo wisi w domu stopniowo się do niego przyzwyczajam i przestaję dostrzegać usterki. Malowanie to męcząca robota, może nie tak jak rżnięcie drewna, ale nudne jest malowanie drobnych, powtarzających się elementów, które na dodatek nie wychodzą tak jak by się chciało.

– Zanim Pan zaczął malować swoje pełne tajemniczości obrazy, był Pan architektem, fotografem...

– Tak, zajmowałem się fotografiką jakieś dwadzieścia lat temu i rzuciłem ją. Uznałem, że nie posiadam tego typu wyobraźni, którą powinien mieć fotograf. Musi on być otwarty na rzeczywistość i dostosowywać swój punkt widzenia do tego co istnieje. Ja natomiast byłem otwarty tylko na swoje wnętrze. Wymyślałem każde ujęcie z użyciem rekwizytów i ludzi, po czym dopiero sięgałem po aparat. Po tych próbach postanowiłem raczej namalować to, co wymyśliłem niż robić fotografię. W początkach mojej twórczości byłem abstrakcjonistą, spawałem w metalu rzeźby-reliefy. Powoli dochodziłem do tego co teraz robię. Nie wystawiłbym nigdy moich prac, gdyby mnie ludzi do tego nie namówili. Jestem przykładem typowego maniaka tworzącego do szuflady, znajdującego zadowolenie w samym fakcie malowania.

– W Pana obrazach krytycy dostrzegają sporo erotyki, lęków, obsesji. Są projekcją ludzkich tęsknot.

– U każdego malarza operującego wolnymi skojarzeniami znaleźć można dużo lęków i obsesji. Moje lęki są chyba dość łatwe do wykrycia. Jak każdy boję się śmierci, ale jest to chyba lęk dość banalny. Tkwię zresztą wewnątrz moich obsesji i trudno mi je zauważyć. Przypuszczam jednak, że człowiek swoich najgłębszych tajemnic nigdy nie pokaże. Każdy z nas nakłada kolejne maski lub zmienia te nałożone kiedyś przez naturę czy niewyjaśnione okoliczności życiowe.

– Pana kompozycje malarskie nie mają tytułów. A zatem widzowie mogą swobodnie interpretować te obrazy, na których ciemności mieszczą w sobie światło, piękno może objawić się jako ohyda, a w miłości kryje się groza śmierci – jak napisał jeden z krytyków.

– Tak, ludzie różne rzeczy znajdowali w moich obrazach. Zasadniczą rolę odgrywa tu psychika interpretatora. Bywa, że ci co mają duszę cokolwiek poetycką dochodzą do takich skojarzeń, że ich nie rozumiem. Niestety wszyscy przywykli do tego, że obrazy się koniecznie interpretuje. A chyba powinno być tak, że albo mi się coś podoba, albo nie. Tego rodzaju percepcja pozwala mi zachować własną interpretację i nie naruszyć jej.

– **Czy tylko własne przeżycia wewnętrzne stanowią dla Pana źródło inspiracji twórczej? Czy poezja, literatura także?**

– Jestem trochę głuchy na poezję. Gdy dostanę tomik, to zwykle potrafię tylko przebrnąć przez jeden wiersz. To jest tak jak ze stołem zastawionym stoma butelkami słodkiego wermuthu, a ja mam chęć tylko na jeden kieliszek. Jeśli mam to wszystko przemłócić, to robi mi się słabo. Ostatnio niewiele czytam. Na telewizję prawie nie patrzę. Jedyne rodzaje sztuki, z którą obcuje, to muzyka, na której zresztą w sensie profesjonalnym się nie znam, choć uczyłem się grać na fortepianie.

– **Słyszałam, że chciał Pan zostać kompozytorem...**

– Tak, dlatego że muzyka jest najwspanialszą ze sztuk. Dzieje się w czasie, czego nie można powiedzieć o obrazie. Obraz jest martwy. Być może, że jeszcze wspanialszy byłby dla mnie czysty film połączony z muzyką. Czysty w tym znaczeniu, że wolny od komercjalizmu i politycznych nacisków a więc byłby tworem, który można sobie tylko wyobrazić, a który nie istnieje. Przyznać muszę, że rzeczywiście poza muzyką i malarstwem oraz hobbystycznym zainteresowaniem techniką nic dla mnie nie istnieje. Nie wypada się przyznawać, ale nawet na wystawy plastyczne nie chodzę. Przypadkiem znalazłem się ostatnio w Zachęcie na tej wielkiej wystawie prezentującej środowisko warszawskie, bo znajomy mnie namówił, że warto. Co który obraz mi się spodobał, to jak się okazywało autorką była kobieta. Może rzeczywiście kobiety przejmują ster w sztuce albo ja mam taką damską naturę! Tak naprawdę to zwróciłem uwagę na pewien fragment

parkietu w Zachęcie, który odkleił się i wykruszył... Nie będę robił u siebie parkietu. To ryzykowne.

Rozmawiała: Iwona Rajewska